

O czym marzą myśliwi

Nasi czytelnicy zechcieli się podzielić swoimi myśliwskimi pragnieniami. Zarówno ci z długim stażem, jak i ci, którzy dopiero kilka lat temu zasiliли szeregi łowieckiej braci. Marzą o polowaniach na różne zwierzęta, indywidualnych albo zbiorowych, często w zimowej aurze. Jednak ważniejsza niż gatunek zwierzyny czy miejsce łowów niejednokrotnie okazuje się sama otoczka polowania – ta magiczna atmosfera wyczuwalna tylko w kniei. Poniżej zamieszczamy trzy opowiadania, które zwyciężyły w konkursie BŁ i biura polowań Argali „Polowanie, o jakim marzę...”. Zatem wspólnie puśćmy wodze fantazji i... w drogę! | Redakcja



ARGALI

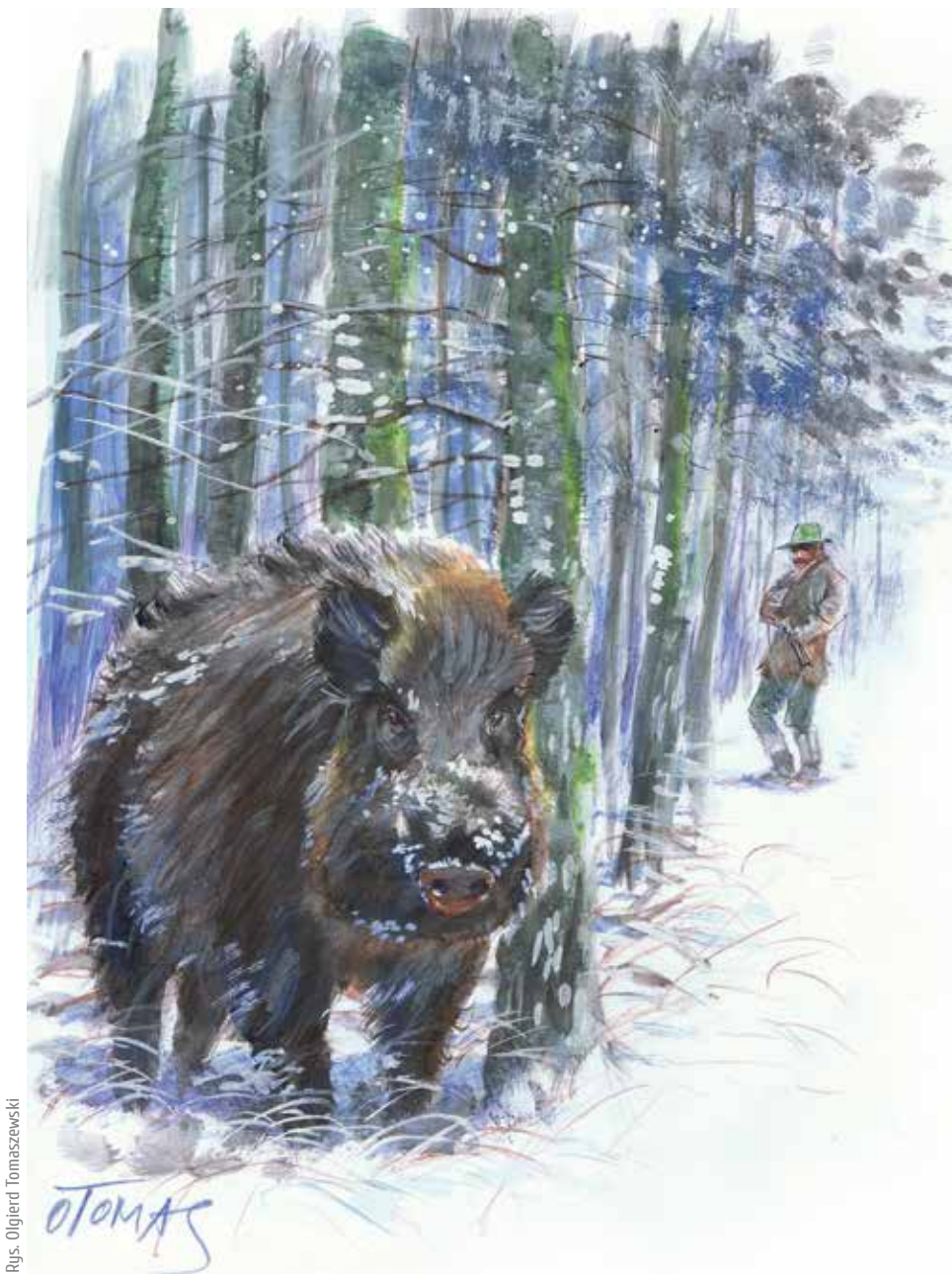
Brać Łowiecka

MIESIĘCZNIK MYŚLIWYCH I SYMPATYKÓW ŁOWIECTWA

I miejsce Trzeba marzyć

Uzbrojony w długopis i kilka kartek oraz pełen nadziei, że uda mi się przelać na papier swoje łowieckie marzenia, poszedłem nad jezioro. Wybrałem urokliwe miejsce i wygodny pniak, rozsiadłem się na nim i wśród piękna natury oraz jej odgłosów oczekiwałem nadejścia weny. W tej jednej chwili uświadomiłem sobie, jaki szmat czasu upłynął od momentu, gdy jako ośmioletni dzieciak „polowałem”, zasadzając się za firaną na ptaki przylatujące do karmnika. Wówczas moim łowieckim sukcesem było to, że przyglądałem się tym sikorom, dzwoniom i trznadlom z bliskiej odległości i wcale ich nie płoszyłem. Zaczęło docierać do mnie również to, ile za mną przeczytanej łowieckiej literatury, obejrzanych zdjęć i kilometrów przebytych w kniei w roli naganiacza, wreszcie godzin spędzonych na słuchaniu wspomnień nemrodów. Wszystko to kształtowało mój myśliwski charakter i pozwoliło wypracować moje łowieckie credo.

„Polowanie, o jakim marzę...”. W pierwszej chwili wydawało mi się, że rozwinięcie tego zdania, udzielenie odpowiedzi na takie pytanie jest niezwykle trudne, a może nawet niemożliwe. Przecież mamy wolność, otwarte granice, dostępne akcesoria myśliwskie i broń najlepszych marek. Ograniczeniem zdaje się tylko grubość portfela. Świadomość tego naprawdę potrafi rozbudzić fantazję. Jednak dla mnie wymarzone polowanie to takie, gdy natura traktuje mnie jak część siebie, nie zaś intruza, a moje wejście do lasu jest czymś w rodzaju przejścia do innego wymiaru, gdzie nie istnieją żaden zgiełk ani pęd współczesności. Nie mają dla mnie znaczenia nowinki, supergadżety ani miejsce, w którym poluję. Ważne, by obudzić w sobie łowiecki gen, poczuć to, co amerykańscy traperzy czy syberyjscy myśliwi.



Rys. Olgierd Tomaszewski

Oczami wyobraźni widzę siebie tropiącego dniami, a nawet tygodniami, jakiegoś starego, cwane odyńca, za którym przemierzam leśne ostępy, wypatrując dowodów jego bytności. Jak konfrontuję teorię wyczytaną w książkach z tym, co knieja zapisała swoim odwiecznym kodem. Jak w końcu podchodzę do niego centymetr po centymetrze, kładę się na ziemi i czołgam, nie bacząc na wilgoć i ziąb. Któż by tego doświadczał w takiej chwili? Tracę poczucie czasu. Adrenalina podnosi mi się tak, że mógłbym nią obdzielić kilku myśliwych. Tętno pulsuje w każdej części mojego ciała i... w końcu mam to! Podszedłem odyńca na strzał z dubeltówki. Zmagam się z powstrzymaniem emocji, celuję. Mój palec dotyka języka spustowego. Wiem, że wygrałem. Ja, marny człowiek o zmysłach tak dalece niedoskonałych w konfrontacji ze zmysłami dzikiego zwierzęcia. Jedna chwila niedająca się wyrazić słowami. Świadomość, że moje

pociągnięcie za spust stanowi o życiu lub śmierci. Kłębiąca się myśl i decyzja na miarę tej, którą podjął św. Hubert w ardeńskich lasach, ujrzawszy jelenia. Idę za przykładem patrona i dyskretnie robię trochę hałasu. Odyniec oddała się powoli, nieświadom zagrożenia, którego przed chwilą uniknęła. Cóż, nie będzie medalu za oręż. Pewnie żaden z kolegów nie uwierzy w moją historię. Pocieszam się tym, że przynajmniej nikt mnie nie okradnie ze wspomnień. Pomału dochodzę do siebie, emocje opadają, a tętno wraca do normy.

Przekręcam się na plecy i patrzę w zachmurzone niebo, z którego siąpi deszcz. Chwała zwycięzcom, chwała zwyciężonym – chciałoby się rzec. Wreszcie się podnoszę i wlokę do samochodu. Straciłem siły. Zdaje się, że mój organizm zużył całe paliwo w trakcie tego podchodu. W końcu otwieram drzwi auta i zapalam wewnętrzne światło. W oczach mojego psa, który uniósł łeb z tylnego siedze-

nia, dostrzegam pogardę dla mnie za to, co zrobiłem. Skąd wiedział? One zawsze to wiedzą.

Właśnie tak wyobrażam sobie polowanie marzeń. Myślę, że kiedyś może się to spełnić. Bo jak pisał Jonasz Kofta:

*Żeby coś się zdarzyło,
Żeby mogło się zdarzyć (...),
Trzeba marzyć.*

Jednak smutkiem napawa mnie myśl, że gdybym naprawdę przeżył taką przygodę, niestety nie mógłbym jej opowiedzieć tym znajomym myśliwym, którzy odeszli do krainy wiecznych łowów. Byli dla mnie kimś ważnym, znali mnie jako naganiacza i stażystę. Nie było nam dane wspólnie zapolować np. na kaczki. Tak niewiele zabrakło. Pozostaje mi w tym momencie zadedykować im tę opowieść. Natomiast całej łowieckiej braci oraz „Braci Łowieckiej” życzyć wielu marzeń związanych z polowaniami i ich spełnienia, oczywiście.

Norbert Mazurkiewicz

II miejsce Łowy z Nim

Kolejny sezon łowiecki rozpoczęty. „Ileż to już lat?”, myślę. Czas biegnie swoim rytmem tak szybko... Nieraz brakuje już sił, by to wszystko rejestrować. Zaglądam w legitymację i data przystąpienia do PZŁ wskazuje 1992 r. Ileż to wypadów w łowisko... Wspomnienia wracają, gdy tylko spojrzę na ścianę w pokoju z trofeami. Aż dziwi bierze, że można spamiętać te dni i szczegóły, w jaki sposób pozyskało się danego rogowca, byka czy dzika.

Zawsze, gdy zaczyna się sezon, wracam do lat młodości. Wtedy jako mały chłopiec kroczyłem za Nim, by zgłębiać tajniki myślistwa oraz zapoznawać się

z łowiskiem i metodami polowań. Uwielbiałem podchodzenie wiosennego rogowca w mokrej rosie, kiedy trampki przemokły, zapomniane już spacerunki wzdłuż stawów za piżmakami czy złoty kaczek. Każdy wypad w łowisko był czymś magicznym, czymś... Chyba nawet On się nie spodziewał, że stanie się dla mnie inspiracją na całe życie, choć na pewno miał taką nadzieję. Wyjazd z Nim do lasu traktowałem jako kolejną lekcję, poznanie czegoś nowego, coś, na co oczekiwałem prawie każdego dnia po powrocie ze szkoły.

Ileż koleżanek i kolegów przeżyło to samo?! Teraz, z perspektywy czasu, gdy

inni marzą o łowach na medalowego łosia gdzieś w świecie czy na muflona, ja marzę o polowaniu z Nim... Moim Ojcem, bo o Nim piszę. Choć wiem, że tu, na Ziemi, nie będzie mi to dane.

Odszedł na cztery miesiące przed zdaniem przeze mnie egzaminów do PZŁ, za wcześniej i pozostawiwszy mnie z tyloma pytaniami, jakby to było, gdyby... Nieraz nachodzi mnie refleksja, że kiedyś tam, w krainie św. Huberta, uda nam się razem zapolować. I właśnie o takich łowach często marzę. U Jego boku. Tak po prostu...

Piotr Depa

III miejsce Zielone wzgórze Zalesia

Jutro 10 maja, dzień wyczekiwany przeze mnie z niecierpliwością – początek sezonu polowań na kozły. Biorę dwa dni wolnego w pracy i jadę do łowiska na Mazury. Po drodze jeszcze tylko wizyta w saloniku prasowym po czasopiśmie. Rzucam plik kolorowych magazynów na siedzenie obok i ostro ruszam do przodu. No tak, czerwone na skrzyżowaniu i kierowca przede mną zmusza mnie do gwałtownego przyhamowania. Gazety lądują na podłodze auta. Odruchowo się

schylam, żeby je pozbiierać, i wtedy mój wzrok przyciąga szeroko otwarta strona „Braci Łowieckiej” leżącej na samym wierzchu stosu. A to co? Konkurs na opowiadanie „Polowanie, o jakim marzę...”.

Zielone, powoli ruszam w sznurze pojazdów. Polowanie marzeń? Ale temat ktoś sobie wymyślił! Takie wyśnione polowanie to musi być Czarny Łądek, wielka piątka... Rzeczywiście, można pomarzyć o zielonych wzgórzach Afryki. Monotonna praca trzylitrowego diesla pod

maską mojej leciwej terenówki w miarę pozostawianych z tyłu kilometrów pozwala się odprężyć i uciec myślami od codzienności. Jak marzyć, to na całego, więc z pewnością byłby to Czarny Kontynent.

Pierwsza książka, którą samodzielnie przeczytałem, to „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza z pięknymi ilustracjami Szymona Kobylińskiego. Do dziś pamiętam, jakie przeżyłem rozczarowanie, gdy ujrzałem na obrazku ▶

wymarzony sztucer Stasia wyglądający jak stara dubeltówka mojego dziadka. Teraz już wiem, że horyzontalny ekspres to prawdziwa klasyka afrykańskich polowań. Kal. 375 H&H Magnum, rzecz jasna. Jak marzyć, to marzyć – nie tylko afrykański kaliber, lecz także piękny grawerunek. Tymczasem w bagażniku wiozę czeski sztucer kal. 7x64, oczywiście bez żadnego grawerunku. No tak, ale przecież nie jadę na polowanie marzeń...

No proszę, drogowskaz w lewo: „Zalesie 9”. Prawie 200 km minęło wyjątkowo szybko. Uśmiecham się sam do siebie na myśl o tym, że do Afryki miałbym jednak nieco dalej. Boczna droga do leśniczówki, gdzie czeka na mnie nocleg, wiedzie z jednej strony przez las, z drugiej zaś – przez łąkę. W zapadającym zmroku jakieś 150 m od szosy dostrzegłem nowiutką ambonę, której ostatnio jeszcze tu nie było, a tuż obok, no proszę, znajome sylwetki kozła i kozy. Hamuję, opuszczam szybę i przykładam do oczu lornetkę. Młody przyszłościowy kozioł o symetrycznych parostkach szóstaka pasie się spokojnie. Z kolei koza uniosła głowę i czujnie obserwuje samochód. Przychodzi mi do głowy żartobliwa myśl, że tak właściwie to te sarny bardzo przypominają afrykańskie impale... Nacieszywszy oczy, pomału ruszam dalej.

Leśniczy, sympatyczny pan Zenek, u którego zatrzymuję się już od lat, przerywa malowanie ganku, wita mnie serdecznie i zaprasza na kolację. Posiliwszy się wyśmienitymi specjałami przygotowanymi przez gospodynię, chwilę gadamy, pijemy po kieliszeczku naleweczki z domowej piwniczki, po czym, jako że mam w perspektywie pobudkę jeszcze przed świtem, przygotowuję ubranie na rano, biorę szybki prysznic i zasypiam, marząc o Afryce i wielkiej piątce.

Budzę się z łatwością, wypijam małą czarną i wyruszam o świcie na polowanie z podchodu, które zawsze sprawia mi najwięcej radości. Wchodzę na niemal bezkresny, pokryty różnorodną roślinnością ugór i nagle zauważam, że wyłaniające się z porannej mgły krzewy głógów to jakby cierniste akacje na afrykańskiej sawannie... Po chwili zanurzam się w młode wierzby, olszki i brzoźki, ostre tarniny i jeżyny. Czyż to nie najprawdziwszy busz? Na horyzoncie niebo zaczyna się różowić, zwiastując bliski wschód Słońca. Jest pięknie, może i piękniej niż w Afryce, gdzie nagle noc zmienia się w dzień, a dzień – w noc. Idę skrajem pola rzepaku i łąki porośniętej samosiewami. Naraz atakuje mnie eskadra natrętnych komarów. No tak, nie zabezpieczyłem się żadnym repelentem, więc pozostaje mi tylko oganianie się ręką. Staram się nie robić przy tym za wiele hałasu. Znow przeznoszę się w myślach do Afryki, a małe brzęczące owady zmieniają się w mojej wyobraźni w groźne moskity.

W pewnej chwili coś spostrzegam – jakiś ruch ok. 80 m na lewo ode mnie. Zastygam i widzę sarnę, która przebiega kilkanaście metrów i staje w bezruchu. Przykucam i również nieruchomieję. Powoli podnoszę do oczu lornetkę. Tak, 70 m przede mną znajduje się koza i patrzy podejrzliwie w moją stronę. Prawie nie oddycham. Dostyc dobrze zastania mnie krzak głogu, a i wiatr na pewno nie przeszkadza. Na tle wschodzącego Słońca i opadającej porannej mgły, z której wystają wierzchołki drzewek, naprawdę wygląda jak impala! Ta złocistomiedziana barwa sukni i ciemniejsze końcówki uszu... Kręcę głową, uśmiechając się mimowolnie, gdyż zauważam, że moje myśli ciągle wracają do Afryki.

Nagle koza skacze do tyłu i błyskawicznie znika. Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka, że mnie

wyczuła. Ale raptem staję się świadkiem gonitwy dwóch kozłów. Zjawiają się nagle, jeden wyraźnie ucieka, a drugi sadi za nim. Pościg jak nic. Na gody jeszcze za wcześniej, więc co się dzieje? Oba oddalają się w rzednącej mgle, a do moich uszu po chwili dociera charakterystyczne szczekanie. Zaraz słyszę mocniejszy szczek bliżej mnie. No tak, silniejszy samiec przepędził intruza ze swojego rewiru i wraca na łąkę. Przez cały czas usiłuję się nie poruszać. Już widzę, jak jego sylwetka majaczy między krzakami. Nie czyniąc żadnego hałasu, powoli rozstawiam pastorał, opieram sztucer i czekam, spoglądając w lornetkę. Jest! Kapitałny szóstak w drugiej klasie wieku. Mgła w zasadzie opadła i mogę się dobrze przyjrzeć zwierzęciu. Parostki noszą już cechy lekkiego uwstecznienia. Pasie się bokiem do mnie, przesuwał się po kilka kroków do przodu. Ocenivszy, że za chwilę zasłonią go rozłożyste, obsypane kwiatem głogi, na moment wstrzymuję oddech i oddaję strzał. Zamykam oczy. Wyobraźnia po raz kolejny przenosi mnie w afrykański busz, może gdzieś w wymarzonej Namibii. Oto strzeliłem do wytopionego oryksa... Zwierzę skoczyło w górę i wykonawszy kilka susów w przód, upadło bez ruchu. Podchodzę, słysząc wręcz bicie własnego serca. Serce kozła (bo niewątpliwie był to kozioł, a nie namibijski oryks) już nie bije. Mój sztucer jak zwykle nie zawiódł i pozwolił oddać celny strzał. Pierwszy dzień sezonu, a ja mam wymarzone medalowe trofeum!

Tak, wymarzone. Nieważne, gdzie zdobyte: w Polsce, w Afryce czy gdziekolwiek indziej na świecie. Każde etycznie wykonane i zakończone sukcesem polowanie może być przecież tym wymarzonym. Sukces nie musi zresztą oznaczać strzelenia zwierza. Już udany podchód, który pozwoli uczestniczyć w prawdziwym życiu łowiska, daje ogromną satysfakcję, zapewnia niesamowite emocje i pozostawia niezapomniane wspomnienia. Dotyczy to szczególnie polowania z podchodu na samce zwierzyny płowej, gdy często po podejściu i ocenie zwierzęcia wcale się do niego nie strzela.

Wieczór spędzam już w domu. Na kolację wątróbka z upolowanego kozła. Zasypiam i potem sam nie wiem, czy marzę na jawie czy śnię... o Afryce i wielkiej piątce.

Tomasz Burzyński

